

Podróże Wołominiaków: Nepal - Annapurna



■ Uczestnicy trekkingowej wyprawy wokół Annapurny.

21 lipca w Izbie Muzealnej Wodiczków miało miejsce kolejne spotkanie z cyklu „Podróże Wołominiaków”. Bohaterami wieczoru byli uczestnicy trekkingowej wyprawy wokół Annapurny, która odbyła się w lutym 2010 r. Spotkanie poprowadził kierownik wołomińskiej wyprawy Wojciech Łochowski, z wykształcenia biolog i informatyk, charyzmatyczny pedagog, który m.in. podjął się i ukończył budowę szkoły w Leśniakowiznie, był dyrektorem SP w Majdanie, a obecnie jest dyrektorem Szkoły Podstawowej im. Fryderyka Chopina w Starym Grapiu. Jest również aktywnym podróżnikiem, zwiedził Mongolię, Tajlandię, Chiny, Nepal, Izrael, Finlandię, Ukrainę, Syberię. W 3-tygodniową podróż do Nepalu zabrał ze sobą 7 młodych wołominiaków.

- Przylecieliśmy do Katmandu, stolicy Nepalu, stamtąd pojechaliśmy bussem do Pokhary, potem do Punhill, skąd wyruszyliśmy w trekking - opowiadał na spotkaniu w Izbie Wodiczków Wojciech Łochowski. - Annapurna jest szczytem w paśmie Himalajów, położonym

w Nepalu. Jej wysokość wynosi 8091 m n.p.m. Chcieliśmy okrążyć Annapurnę, ale tylko w połowie. Taki klasyczny trekking kiedyś trwał 21 dni, teraz 14 dni. W każdej chwili można zrezygnować z trekkingu i skorzystać z oferowanego transportu. Wynajęliśmy dwóch Szerpów, czyli nepalskich tragarzy. Ale trzeba wiedzieć, że Szerpa nie oznacza tragarza. Szerpowie to ludność tybetańska, zamieszkująca Himalaje w Indiach i Nepalu, mająca predyspozycję do chodzenia po wysokich górach. Z racji, że towarzyszą wszystkim wyprawom, godzą się nosić bagaże turystów, ale tylko do 15-20 kg. W związku z tym, że my chcieliśmy by nieśli ok. 40-kilogramowe plecaki, natychmiast zastrajkowali. Stańło na 30 kg, ale w trakcie wyprawy zbuntowali się ponownie i musieliśmy wynająć transport. Oprócz tragarzy można też brać przewodników, ale trzeba im o wiele więcej zapłacić, a przecież nepalscy Szerpowie równie dobrze znają drogę.

Cały czas szliśmy wzdłuż rzeki Kali Gandaki, podziwiając wodo-

spady i piękne okoliczności nepalskiej przyrody. Zaczęliśmy od wysokości ok. 800 m n.p.m. Pierwszego dnia weszliśmy na 1540 m, drugiego już byliśmy na wysokości 2855 m, a grupa szczytowa weszła na 4841 m n.p.m. Na punkcie widokowym - Dunhill ok. 3200 m n.p.m. zaliczyliśmy wschód słońca. Później udaliśmy się do Ghorepani i wielu innych miejscowości nepalskich. Doszliśmy np. do wsi Tatopani, która słynie ze źródeł termalnych. Niedawno wyczytałem, że obok wsi wybudowano duży most i teraz cały ruch odbywa się obok tych źródeł i już nie jest tak zacisznie. Po drodze trzeba też uważać na karawany z mułami, które idą bardzo szybko i specjalnie się nie przejmują innymi podróżnikami, więc na wąskim mostku czy ścieżce przy skale mogą trochę przytrzeć. Ich obecność na drodze poprzedzają dzwonki i pokrzykiwania. Ale już coraz rzadziej można ich spotkać, z racji przerzucania się na transport samochodowy. Co i rusz na skalnych zboczach można zobaczyć koparki, które torują drogę. Poza tym Nepalczycy ogrzewają się drewnem pozyskiwanym z okolicznych lasów, więc nepalska roślinność kurczy się w zatrważającym tempie.

W dalszej kolejności zwiedzaliśmy m.in. dolinę Kali Gandaki, Jomsom - stolicę dystryktu Mustang, czy np. Muktinath - jedno ze świętych miast i znany ośrodek hinduskich i buddyjskich pielgrzymek. W miejscowości znajduje się świątynia wiecznego płomienia, który płonie nieustannie od tysięcy lat.

W dzień - lato, w nocy - zima

Normalnie wstaje się o 6:00, o 7:00 je śniadanie, a o 8:00 wycho-

dzi. Ale nasza grupa wychodziła o 10:00. Jak się okazuje, tak też można. Nie do końca była to taka prawdziwa wyprawa, a raczej chodzenie od wsi do wsi. Praktycznie co 2-3 godziny na trasie można zahaczyć o jakiś hotelik z jedzeniem i możliwością noclegu. W knajpach raczyliśmy się tradycyjnymi tybetańskimi pierożkami Momo z mięsnym nadzieniem, ale są też wersje z zielskiem. Kuchnia jest zdecydowanie wegetariańska, ale można też zjeść kotlet z jaka. Z rzadka można trafić na kurczaka. Głównie serwują ziemniaki, zboża, sery oraz chlebki tybetańskie i warzywa. Częstym daniem jest indyjska potrawa daal bhat, czyli zazwyczaj sos z soczewicy, serwowany z ryżem i curry warzywnym. Można jej zjeść do oporu, placąc po prostu za danie. To jest najtańsza opcja, szczególnie dobra dla bardzo głodnych.

Najlepszy sezon na zwiedzanie trwa od października do maja. Wówczas na trasie jest dość luźno. Mimo że byliśmy w zimie, w lutym, w dzień temperatura przekraczała 20 stopni Celsjusza, ale za to w nocy woda nam zamarała w kubkach. Niby spaliśmy w hotelach, ale nieogrzewanych, więc warunki były takie same jak pod namiotem. Trafiliśmy też na bardzo elegancki, ogrzewany hotel, ale nie spodobał nam się, także ze względu na cenę, odpowiednią do oferowanego komfortu. Tam na kobiety prowadzące hotel mówi się didi, co znaczy siostra. Na trasie znajdują się także dobrze zaopatrzone punkty medyczne, gdzie można nabyć np. bardzo skuteczną parafinę na wysychającą skórę. Wiele jest też przybytków sanitarnych z toaletą i prysznicem z ciepłą lub zimną wodą.

Zakręcone modlitwy

Po drodze zwiedzaliśmy przydrożne świątynie, klasztory i kapliczki, gdzie kręciliśmy młynkami modlitewnymi, zazwyczaj od lewej do prawej. Jednak jest to zależne od świątyni i trzeba wiedzieć, w którą stronę kręcić, bo jeśli zakręcimy w niewłaściwą stronę, to skasujemy wszystkie dotychczasowe modlitwy. Szczególnie dla niepiśmiennych tubylców jest to duże ułatwienie, bo wystarczy zakręcić, by się pomodlić. Na szlaku często można spotkać flagi modlitewne, które powiewają dotąd, aż się rozpadną. Ciekawostką może być fakt, że tybetańska książka to jest stos kartek owinięty jedwabnym materiałem.

Z racji, że ścieżka, którą wędrowaliśmy jest jedynym w miarę płaskim terenem w tej okolicy, odbywają się na niej najróżniejsze imprezy miejscowej ludności, jak np. wesela, w których zresztą nie omieszkaliśmy uczestniczyć. Nepalki są bardzo wesołe i kontaktowe. Życie mieszkańców toczy się przed domem: kobiety myją dzieci na zewnątrz lub uprawiają ziemię w przydomowym ogródku. Kobiety są też budowniczymi. Często można je spotkać jak układają z kamieni mury okalające uprawy. Warto dodać, że te ciągnące się kilometrami murki są budowane bez żadnej zaprawy, tak samo budoje się wiele domów. W związku z tym podczas trzęsienia ziemi można powiedzieć, że materiał wraca do poprzedniej formy. Zadziwiające, że tak łatwe do rozwalenia murki nie są niszczone przez miejscową młodzież.

Nieprzewidywalne Indie

Nasz plan zakładał 8 dni trekkingu, a następnie małym samolotem mieliśmy wrócić do Pokhary

Radio FAMA
Wołomin 94,7 MHz

**WIEŚCI piszą
FAMA głośni**

REKLAMA

i jeszcze zaliczyć Narodowy Park Nepalu - Chitwan. Jednak nie wszystko poszło zgodnie z planem... Nepal i Indie są nieprzewidywalne i taka krótka wyprawa jak nasza, 3-tygodniowa, była bardzo ryzykowna. Wiele może się po drodze wydarzyć i bywa naprawdę trudno zdążyć ze wszystkim na czas. Ostatecznie z powodu dużych opadów śniegu, zamiast wracać samolotem, jechaliśmy jeepem, a potem szliśmy piechotą w deszczu i w rezultacie zajęło nam to półtora dnia. Ostatecznie dotarliśmy do Narodowego Parku Nepalu, po którym dla odmiany, podróżowaliśmy na słonach. Widzieliśmy krokodyla, nosorożce i dużo zimorodków. Następnie pojechaliśmy do Katmandu, gdzie m.in. zwiedzaliśmy świątynię Swayambhunath czy pałace królewskie na głównym placu Durbar Square. Potem w Delhi zobaczyliśmy Gurudwarę - świątynię sikhjską, Meczet Piątkowy, Mauzoleum Gandhiego i Czerwony Fort. Następnie udaliśmy się do Agry, gdzie obowiązkowo podziwialiśmy cud świata, czyli Tadž Mahal

- indyjskie mauzoleum, wzniesione przez Szahdżahana z dynastii Wielkich Mogołów dla ukochanej żony Mumtaz Mahal, która zmarła przy porodzie czternastego dziecka. Niedaleko Agry znajduje się mongolskie wymarłe miasto Fatehpur Sikri, które również zaliczyliśmy.

Świat się cywilizuje. Przyroda jest w coraz gorszym stanie, a wstępy do zabytków coraz droższe - skomentował Wojciech Łochowski, który podróżując od kilkudziesięciu lat, często podkreślał różnice, tak w krajobrazie, jak i w cenach. Na zakończenie wspomnieli jeszcze o spotkaniu z Wandą Rutkiewicz, której zrobił zdjęcie 26 lutego 1989 roku, tuż po jej zejściu z Kanczendzongi. Jak wiadomo 3 lata później, właśnie schodząc z Kanczendzongi, Wanda Rutkiewicz zaginęła. Po prelekcji zgromadzeni goście mieli okazję skosztować potraw indyjskich, przygotowanych specjalnie na to spotkanie. (am)

■ Fot. Adek.

